



JOHN GRISHAM

ULUBIONY PISARZ AMERYKI

BRACTWO

Kandydat
na prezydenta,
który ma swoją
małą tajemnicę.

I trzech osadzeni
sędziowie,
którzy wiedzą,
jak zbić na
tym majątek.

ALBATROS

Tytuł oryginału:
THE BRETHREN

Copyright © Belfry Holdings Inc. 2000
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2023

Polish translation copyright © Małgorzata Stefaniuk 2023

Redakcja: Anna Walenko

Projekt graficzny okładki: Agnieszka Drabek

Zdjęcie na okładce: © Dave Wall/Arcangel Images

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Rozdział 1

Na cotygodniowym posiedzeniu sądowy błazen jak zwykle pojawił się w znoszonej, mocno wypłowiałej bordowej piżamie i jasnioletowych klapkach frotté na bosych stopach. Nie był jedynym osadzonym, który całymi dniami chodził w piżamie, lecz poza nim nikt nie miał odwagi nosić fioletowego obuwia. Nazywał się T. Karl i kiedyś był właścicielem kilku banków w Bostonie.

Piżama i klapki nie budziły jednak nawet w przybliżeniu takiej konsternacji jak peruka. Z przedziałkiem na środku, trzema warstwami mocno skręconych loków opływała głowę po bokach i z tyłu i ciężko opadała na ramiona. Wzorowana na staroangielskich sędziowskich perukach, była jasnoszara, a nawet wręcz biała, i pochodziła ze sklepu z używanymi kostiumami w West Village na Manhattanie; wypatrzył ją tam dla T. Karla jego znajomy z czasów wolności.

T. Karl z dumą zakładał ją na każde posiedzenie sądu i mimo że była dziwaczna, z biegiem czasu stała się nieodłączną częścią przedstawienia. Zresztą czy był w peruce, czy nie, współwięźniowie i tak trzymali się od T. Karla z daleka.

Teraz stanął za rozstawionym w więziennej stołówce sfatygowanym składanym stołem, zastukał plastikowym

tłuczkiem do mięsa, który służył mu za sądowy młotek, i odchrząknąwszy, zawołał skrzekliwie i z wielką powagą:

– Uwaga, uwaga! Niniejszym ogłaszam, że Sąd Obwodowy Północnej Florydy rozpoczyna posiedzenie. Proszę wstać!

Nikt się nie ruszył, a w każdym razie nikt nie wstał. Trzydziestu osadzonych siedziało w swobodnych pozach na plastikowych krzesłach stołówki – jedni patrzyli na sądowego trefnisa, inni rozmawiali, jakby go tu nie było.

– Niech wszyscy, którzy szukają sprawiedliwości – mówił dalej, niezrażony – zbliżą się i dadzą się wyrołować.

Cisza. Nikt się nie roześmiał. Dowcip śmieszył przed kilkoma miesiącami, gdy T. Karl powiedział go po raz pierwszy, ale teraz był to już tylko, tak jak peruka, stały punkt widowiska. T. Karl zasiadł dostojnie na krześle i upewniwszy się, że opadające mu na ramiona loki są dobrze widoczne, otworzył oprawioną w czerwoną skórę grubą księgę – rejestr prowadzonych spraw. Sądowy błazen traktował swoją pracę niezwykle poważnie.

Z kuchni do sali wkroczyło trzech mężczyzn. Dwóch było w butach. Jeden z nich jadł krakersa. Ten bez butów miał gołe nogi i spod togi wystawały chude łydki: mocno opalone, świecące i gładkie, lewa z dużym tatuażem. Bosy sędzia pochodził z Kalifornii.

Wszyscy trzej mieli na sobie identyczne stare togi kościelnych chórzystów, jasnozielone, ze złotymi obszyciami. Pochodziły z tego samego sklepu co peruka T. Karla i były prezentem gwiazdkowym od niego. Właśnie dzięki temu gestowi zapewnił sobie posadę sekretarza.

Kiedy sunęli przez salę, majestatycznie, powiewając połami tóg, od strony publiczności popłynęły posykiwania i okrzyki drwin. Nie bacząc na nie, sędziowie zajęli miejsca za długim stołem – blisko T. Karla, lecz nie za blisko – i przenieśli spojrzenia na uczestników zgromadzenia. Ten siedzący pośrodku był niski i

krępy. Nazywał się Joe Roy Spicer i samozwańczo pełnił funkcję przewodniczącego składu. W poprzednim życiu był sędzią pokoju w Missisipi, wybranym legalnie przez mieszkańców małego hrabstwa, a następnie usuniętym, gdy federalni przyłapali go na defraudowaniu zysków wypracowanych przez klub bingo wspólnoty Shrinersów.

– Proszę usiąść – nakazał.

Sędziowie przysunęli się z krzesłami do stołu i poprawili togi, tak by nie stracić dostojeństwa. Z boku, ignorowany przez osadzonych, stał zastępca naczelnika, a tuż za nim strażnik w mundurze. Posiedzenie sądu Bracia zwoływali raz w tygodniu za zgodą władz więzienia. Rozpoznawali sprawy, rozsądzały spory, łagodzili drobne zatargi i ogólnie rzecz biorąc, okazali się czynnikiem stabilizującym więzienną społeczność.

Spicer zerknął na wokandę – kartkę pokrytą starannym pismem T. Karla.

– Sąd rozpoczyna posiedzenie – oznajmił.

Miejsce po prawej stronie Spicera zajmował sędzia Finn Yarber, Kalifornijczyk. Sześćdziesięcioletek, skazany za uchylanie się od płacenia podatków, odsiedział dwa lata i do końca wyroku zostało mu jeszcze pięć. To zemsta, powtarzał każdemu, kto chciał go słuchać. Kruczjata republikańskiego gubernatora, któremu udało się podjudzić wyborców i namówić ich do odwołania go z funkcji prezesa Sądu Najwyższego. Punktem zapalnym stało się to, że Yarber, przeciwnik kary śmierci, ustawicznie odraczał wykonanie każdej egzekucji. Ludzie byli żądni krwi, a Yarber im tego nie dawał, więc republikanie rozpetali piekło i ostatecznie odnieśli spektakularny sukces, doprowadzając do jego odwołania. Yarber trafił na ulicę, gdzie błąkał się przez jakiś czas, aż zainteresowała się nim skarbówka. Wykształcony na Stanfordzie, oskarżony w Sacramento, skazany w San Francisco, teraz odsiadywał wyrok

w więzieniu federalnym na Florydzie.

I choć za kratkami tkwił już dwa lata, wciąż był rozgoryczony. Wciąż wierzył w swoją niewinność, wciąż marzył o pokonaniu wrogów. Lecz marzenia te powoli gasły. Dużo czasu spędzał na bieżni, po której chodził samotnie, smażąc się w słońcu i śniąc o lepszym życiu.

– Pierwsza sprawa: Schneiter kontra Magruder – ogłosił Spicer z taką powagą, jakby za chwilę miał się rozpocząć wielki proces antytrustowy.

– Schneitera nie ma – powiedział Beech.

– A gdzie jest?

– W izbie chorych. Znowu kamienie żółciowe. Właśnie stamtąd wracam.

Hatlee Beech był trzecim członkiem składu sędziowskiego. Większość czasu spędzał w szpitalu, a to z powodu hemoroidów, a to bólu głowy, a to zapalenia węzłów chłonnych. Najmłodszy z nich, miał pięćdziesiąt sześć lat i ponieważ zostało mu jeszcze dziewięć lat odsiadki, był przekonany, że umrze za kratkami. Kiedyś był sędzią federalnym we wschodnim Teksasie, zatwardziałym konserwatystą, doskonale znającym Pismo Święte, które lubił cytować w sali sądowej. Miał ambicje polityczne, miłą rodzinę i pieniądze z koncernu naftowego, które wniosła do małżeństwa żona. Miał też problem alkoholowy, o czym nikt nie wiedział, dopóki w Yellowstone nie potracił dwójki turystów. Oboje zmarli. Samochód, który prowadził, należał do młodej kobiety, niebędącej jego żoną. Znalaziono ją na przednim siedzeniu nagą i tak pijaną, że nie była w stanie chodzić.

Dostał dwanaście lat.

Joe Roy Spicer, Finn Yarber, Hatlee Beech. Sąd Obwodowy Północnej Florydy, lepiej znany jako Bractwo z Trumble, więzienia federalnego o złagodzonej rygorze, gdzie nie było

ani murów, ani wież strażniczych, ani drutów kolczastych. Jeśli już musisz siedzieć, siedź u federalnych, i to w takim miejscu jak Trumble.

– Skazujemy go zaocznie? – zwrócił się Spicer do Beecha.

– Nie, odraczamy do następnego tygodnia.

– Dobra. I tak nam nigdzie nie ucieknie.

– Nie zgadzam się! – zawołał Magruder z głębi sali.

– No to się nie zgadzaj... – burknął Spicer. – Sprawa odroczone do następnego tygodnia.

Magruder zerwał się z krzesła.

– To już trzeci raz. Jestem powodem. To ja wniosłem oskarżenie. A on przed każdym posiedzeniem sądu ucieka do izby chorych.

– O co się sądzicie?

– O siedemnaście dolarów i dwa świerszczyki – odpowiedział usłużnie T. Karl.

– Aż tyle, no, no... – mruknął Spicer.

Siedemnaście dolarów zapewniało w Trumble murowany pozew.

Finn Yarber sprawiał wrażenie znudzonego. Jedną ręką gładził skołtunioną siwą brodę, drugą jeździł po blacie stołu, skrobiąc po nim długimi paznokciami. Po chwili zaczął wyginać palce u stóp; żeby je rozruszać, z działającym na nerwy głośnym chrzęstem wciskał je w podłogę. W poprzednim życiu, gdy przysługiwał mu jeszcze tytuł prezesa Sądu Najwyższego Kalifornii, często przewodniczył procesom, mając na stopach jedynie skórzane klapki. Dzięki temu mógł ćwiczyć palce podczas nudnych mów wstępnych i końcowych obu stron.

– Odraczaj – rzucił.

– Sprawiedliwość odroczone to sprawiedliwość zarzucona – oświadczył uroczyście Magruder.

– A to ci oryginalne... – prychnął Beech. – Jeszcze tydzień,

potem wydamy wyrok zaocznie.

– Więc postanowione – ogłosił Spicer kategorycznym tonem.

T. Karl zapisał to w rejestrze spraw. Wkurzony Magruder usiadł. Wnosząc pozew, wręczył T. Karlowi jednostronicowe streszczenie zarzutów. Tylko jedna strona, bo wiedział, że Bracia nie znoszą papierkowej roboty. Jedna strona i miało się swój dzień w sądzie. Schneider odpowiedział sześcioroma stronami inwektyw, a T. Karl sumiennie je powykreślał.

Zasady były proste. Krótkie pozwy. Żadnego ujawniania dowodów. Orzeczenia wydawano od ręki i były wiążące, jeśli tylko obie strony uznawały jurysdykcję sądu. Żadnych apelacji, bo przecież nie mieliby dokąd ich wnosić. Świadkowie nie składali przysięgi. W końcu siedzieli w więzieniu, gdzie kłamstwo uważano za coś całkowicie naturalnego.

– Co mamy dalej? – zapytał Spicer.

T. Karl zawahał się.

– Sprawa Whiza.

Sala na chwilę zamarła, po czym plastikowe krzesła zagrzecgotały podczas ofensywy na stół sędziowski. Publika przesuwała się do momentu, aż T. Karl zawołał:

– Dość! Tyle wystarczy! Uszanujmy powagę sądu! – Krzesła znajdowały się teraz mniej niż sześć metrów od stołu.

Sprawa Whiza ropiała w tym sądzie od miesiący. Whiz, młody spryciarz z Wall Street, okantował kilku bogatych klientów. Zniknęły cztery miliony dolarów, a legenda głosiła, że ukrył pieniądze w jakimś zamorskim banku i zarządzał nimi z więzienia. Do końca odsiadki zostało mu sześć lat, więc jeśli dostałby zwolnienie warunkowe, miałby około czterdziestki, gdy znalazłby się na wolności. Powszechnie zakładano, że spokojnie odsiaduje wyrok, by pewnego wspaniałego dnia, wciąż będąc dość młodym człowiekiem, polecieć prywatnym

odrzutowcem na odległą wyspę, gdzie czekała na niego zakamufLOWANA fortuna.

Legenda z czasem się rozrastała, po części dlatego, że Whiz trzymał się na uboczu i codziennie spędzał długie godziny na analizie raportów finansowych i skomplikowanych wykresów oraz na czytaniu zrozumiałych jedynie dla ekspertów publikacji ekonomicznych. Nawet sam naczelnik próbował kiedyś wydebić od niego porady dotyczące rynku akcji.

Do Whiza w jakiś sposób zdołał się zbliżyć pewien były adwokat, znany w więzieniu pod ksywką Macher. Trudno powiedzieć jak, ale udało mu się nakłonić Whiza, by udzielił kilku drobnych porad małemu klubowi inwestycyjnemu, który zbierał się co tydzień w więziennej kaplicy. Właśnie w imieniu tego klubu Macher oskarżał teraz Whiza o oszustwo.

Zajął miejsce dla świadków i zaczął zeznawać. Zwykle procedury zostały pominięte, żeby jak najszybciej dojść do prawdy.

– No więc idę do Whiza – zaczął Macher – i pytam go, co sądzi o ValueNow, nowej spółce internetowej, o której czytałem w „Forbesie”. Miała wejść na giełdę, a mnie podobał się zamysł leżący u jej podstaw. Whiz obiecał, że ją dla mnie sprawdzi. Ale nie odezwał się. Więc do niego wróciłem i spytałem: „Hej, co z tym ValueNow?”. A on na to, że jego zdaniem to solidna firma i że akcje wystrzelą pod sufit.

– Tego nie powiedziałem – wtrącił szybko Whiz.

Siedział samotnie po drugiej stronie sali, z rękami złożonymi na oparciu stojącego przed nim krzesła.

– Owszem, powiedziałeś.

– Nie, nie powiedziałem.

– Tak czy inaczej, wracam do naszego klubu i mówię, że Whiz wysoko ocenia firmę, więc decydujemy się kupić trochę tych akcji. Kłopot w tym, że drobni ciułacze nie mogą już tego

zrobić, bo sprzedaż jest zamknięta. Wracam do Whiza i mówię: „Słuchaj, myślisz, że mógłbyś pociągnąć za sznurki na Wall Street i załatwić nam kilka akcji ValueNow?”. A on na to, że chyba da się to zrobić.

– To kłamstwo – burknął Whiz.

– Cisza! – zgromił go sędzia Spicer. – Jeszcze zdążysz się wypowiedzieć.

– Ale on kłamie – rzucił Whiz, jakby w Trumble kłamanie było zakazane.

Jeśli rzeczywiście miał gdzieś duże pieniądze, nie było po nim tego widać, przynajmniej sądząc po tym, w jaki sposób żył w więzieniu. Jego cela – trzy metry na cztery – była zupełnie pusta, jeśli nie liczyć stosów publikacji finansowych. Nie miał ani wieży stereo, ani wentylatora, ani książek czy papierosów, nic ze zwyczajowych dóbr, w jakie zaopatrywali się prawie wszyscy osadzeni. A to tylko potęgowało powtarzane o nim plotki. Uważano go za sknerę, dziwaka, który wszystkiego sobie odmawia, a zaoszczędzoną kasę najpewniej upycha na zagranicznym koncie.

– Tak czy inaczej – kontynuował Macher – postanowiliśmy zaryzykować i nabyć te akcje. Każdy z nas miał spieniężyć aktywa, a potem mieliśmy przeprowadzić konsolidację.

– Konsolidację? – spytał sędzia Beech.

Macher mówił jak ktoś obracający miliardami.

– Zgadza się, konsolidację. Pożyczyliśmy, ile się dało, od przyjaciół i rodziny, i ostatecznie zebraliśmy blisko tysiąc dolarów.

– Tysiąc dolarów – powtórzył Spicer. Nieźle jak na operację prowadzoną zza kratki. – I co dalej?

– Powiedziałem Whizowi, że jesteśmy gotowi, i spytałem, czy załatwi nam te akcje. To było we wtorek. Sprzedaż ruszała w piątek. Whiz zapewnił, że nie widzi problemu. Powiedział,

że ma kumpla w Goldman Sux czy innym takim szajsie i że ten się nami zajmie.

– To kłamstwo! – krzyknął znowu Whiz.

– Żadne tam kłamstwo. Tak czy siak, w środę spotkałem Whiza na wschodnim spacerniku. Zapytałem go o akcje, a on odparł, że wszystko jest pod kontrolą.

– Kłamstwo.

– Mam świadka.

– Kogo? – zapytał sędzieja Spicer.

– Picassa.

Picasso siedział za Macherem, podobnie jak pozostałych sześciu członków klubu inwestycyjnego. Niechętnie pomachał ręką.

– Czy to prawda? – zwrócił się do niego Spicer.

– Tak – potwierdził Picasso. – Macher spytał o akcje, a Whiz powiedział, że je zdobędzie, że to nie problem.

Picasso zeznawał w wielu sprawach i częściej niż inni więźniowie był przyłapywany na kłamstwie.

– Kontynuuj – zwrócił się Spicer do Machera.

– A w czwartek nigdzie nie mogłem znaleźć Whiza. Ukrywał się przede mną.

– Wcale się nie ukrywałem.

– Taaa... Nadchodzi piątek, akcje trafiają na giełdę. Oferowano je po dwadzieścia za sztukę, czyli po cenie, za jaką byliśmy w stanie je kupić, gdyby tylko ten siedzący tam wilk z Wall Street zrobił to, co obiecał. Na otwarciu kurs wynosił sześćdziesiąt dolarów, przez większość dnia utrzymał się na osiemdziesięciu i potem spadł do siedemdziesięciu. Zakładaliśmy, że sprzedamy je jak najszybciej. Mogliśmy kupić pięćdziesiąt po dwadzieścia za sztukę, sprzedać po osiemdziesiąt i zamknąć transakcję z trzema tysiącami dolarów zysku.

W Trumble akty przemocy zdarzały się niezmiernie rzadko. Z powodu trzech tysięcy dolarów człowiek raczej nie kończył w kostnicy, ale ktoś mógł połamać mu kości. Whiz na razie miał szczęście, że nikt się jeszcze na niego nie zasadził.

– I uważacie, że Whiz jest wam winien te utracone zyski, tak? – spytał były prezes Sądu Najwyższego, Finn Yarber, skubiąc sobie brwi.

– No jasne, kurka, że tak – prychnął Macher. – A sprawa śmierdzi tym bardziej, że Whiz kupił akcje ValueNow dla siebie.

– Chyba cię popierdoliło... – warknął Whiz.

– Tylko bez przekleństw, proszę – zgromił go sędzia Beech.

Jeśli chciało się przegrać sprawę w sądzie Braci, wystarczyło obrazić uszy Beecha niecenzuralnym językiem.

Plotkę, że Whiz kupił akcje dla siebie, rozpuścili Macher i jego banda. Nie mieli na to żadnych dowodów, ale wyssana z palca historia przyjęła się i była powtarzana przez większość osadzonych tak często, że uznano ją za fakt. Bo to do wszystkiego pasowało...

– Skończyłeś? – zapytał Spicer Machera.

Ten miał przygotowanych jeszcze wiele argumentów, wiedział jednak, że Bracia nie cierpią rozgadanych piniaczy. Zwłaszcza byłych prawników, którzy wciąż wspominają czasy swojej świetności. W Trumble siedziało takich co najmniej pięciu i pojawiali się niemal na każdej rozprawie.

– Tak, raczej tak – odparł Macher.

– A ty... co masz do powiedzenia? – zwrócił się Spicer do Whiza.

Whiz wstał i zrobił kilka kroków w stronę stołu sędziowskiego. Łypnął na Machera i jego bandę nieudaczników, po czym odwrócił się twarzą do sądu.

– Co w tej sprawie jest dowodem?

Spicer natychmiast spuścił wzrok i czekał na pomoc. Jako

sędzia pokoju nie miał żadnego wykształcenia prawniczego. Nie skończył nawet szkoły średniej i przez dwadzieścia lat pracował w wiejskim sklepie ojca. To właśnie tam zdobył głosy, dzięki którym wybrano go na sędziego pokoju. W swoim orzecznictwie polegał na zdrowym rozsądku, który często rozmijał się z kodeksem karnym czy cywilnym. Gdy odwołanie się do nich było konieczne, zostawiał to w Trumble dwóm kolegom.

– To, co ustalimy, że nim jest – odparł sędzia Beech, bardzo rozbawiony tym, że o procedurach procesowych debatuje z maklerem giełdowym.

– Chodzi o wyraźne i przekonujące dowody? – chciał wiedzieć Whiz.

– Owszem.

– Które nie pozostawiają uzasadnionych wątpliwości?

– Te, które na razie zostały przedstawione, pozostawiają wątpliwości.

– Poważne?

– Być może – mruknął Beech.

– W takim razie wygląda na to, że powód nie dysponuje żadnymi dowodami – oznajmił Whiz, rozkładając szeroko ręce niczym marny aktor z jeszcze marniejszej telenoweli.

– Może lepiej skup się na przedstawieniu swojej wersji wydarzeń – poradził mu Beech.

– Bardzo chętnie. ValueNow to była typowa oferta internetowa. Dużo szumu, dużo reklamy. Tak, Macher zgłosił się do mnie, ale zanim zdążyłem popytać, było już za późno. Dzwoniłem do kumpla, a on powiedział mi, że te akcje są poza zasięgiem. Nawet duzi chłopcy nie mieli do nich dostępu.

– Jak to możliwe? – wtrącił zdziwiony sędzia Yarber.

W sali zaległa cisza. Whiz mówił o pieniądzach, więc wszyscy nadstawili uszu.

– W przypadku IPO to nic nadzwyczajnego. IPO to pierwsza oferta publiczna.

– Wiemy, czym jest IPO – burknął Beech.

Spicer na pewno nie wiedział. W prowincjonalnym Missisipi podobnych ofert nie mogło być zbyt wiele.

Whiz nieco się odprężył. Przypuszczał, że zaraz olśni ich wiedzą, tak że wygra tę durną sprawę, wróci do swojej jaskini i dalej będzie mógł wszystkich ignorować.

– Ofertę publiczną ValueNow obsługiwała Bakin-Kline, niewielka firma z San Francisco świadcząca usługi bankowości inwestycyjnej. W ofercie znalazło się pięć milionów akcji, ale Bakin-Kline rozproszyla je głównie wśród preferowanych klientów i znajomych, tak że większość dużych firm inwestycyjnych praktycznie nie miała szans na ich nabycie. Jak już mówiłem, to nic wyjątkowego.

Sędziowie i osadzeni, nawet sądowy błazen, spijali mu z ust każde słowo.

A on jeszcze nie skończył.

– Trzeba być idiotą, żeby sądzić, że pozbawiony prawa wykonywania zawodu adwokat, któremu wpadło w ręce stare wydanie „Forbesa”, zdoła w jakikolwiek sposób nabyć akcje ValueNow.

I teraz, kiedy Whiz o tym mówił, pomysł Machera wydawał się skrajnie naiwny. Macher kipiał z wściekłości, a jego koledzy z klubu zaczęli go w duchu obwiniać.

– A ty? – spytał Beech. – Kupiłeś jakieś dla siebie?

– Ależ skąd! Nie miałem do nich dostępu. A poza wszystkim większość firm z branży internetowej i zaawansowanych technologii, właśnie takich jak ValueNow, opiera się na trefnej kasie. Trzymam się od takich z daleka.

– To jakie wolisz? – zapytał szybko Beech, nie potrafiąc opanować ciekawości.

– Takie, które przynoszą zyski, tyle że długofalowo. Mnie się nigdzie nie spieszy. Całe to oskarżenie to jeden wielki kant.
– Whiz wskazał ręką Machera, który coraz bardziej osuwał się na krześle. – Kilku facetów chce się szybko wzbogacić, ot i cała tajemnica.

Mówił sensownie i brzmiał wiarygodnie, podczas gdy oskarżenie Machera opierało się na pogłoskach, spekulacjach i słowach Picassa, notorycznego kłamcy.

– Masz jakichś świadków? – zapytał Spicer.

– A do czego mi oni? – prychnął Whiz i usiadł.

Każdy z sędziów zapisał coś na skrawku papieru. Narady trwały krótko, werdykty ogłaszano niezwłocznie. Yarber i Beech podsunęli kartki Spicerowi, a ten rzucił na nie okiem.

– Wynikiem dwa głosy do jednego sąd orzeka na korzyść pozwanego – ogłosił. – Pozew zostaje oddalony. Kto następny?

Tak naprawdę werdykt zapadł jednogłośnie, lecz zawsze ogłaszano, że któryś z sędziów miał odmienne zdanie. Dawało to każdemu z nich pewne pole manewru w razie ewentualnych pretensji którejs z stron.

Ogólnie jednak Bracia cieszyli się w Trumble dobrą opinią. Decyzje podejmowali szybko i w miarę sprawiedliwie, a w świetle wątpliwych zeznań, jakich często byli zmuszeni wysłuchiwać, ich wyroki były zadziwiająco trafne. Spicer, który na zapleczu wiejskiego sklepiku przez lata rozsądzał drobne sprawy, potrafił wyczuć łgarza na kilometr. Beech i Yarber zjedli zęby w salach sądowych i nie tolerowali ani rozwlekłych wywodów, ani przeciągania procesów, czyli zwyczajowych praktyk.

– Na dzisiaj to już wszystko – zameldował T. Karl. – Więcej spraw nie ma.

– Świetnie. W takim razie sąd odracza posiedzenie do przyszłego tygodnia.

T. Karl poderwał się na nogi, aż loki peruki podskoczyły mu na ramionach.

– Sąd zakończył posiedzenie! – zagrzmiął. – Proszę wstać.

Naturalnie nikt nie wstał, nikt nawet się nie poruszył, gdy Bracia opuszczali salę. Macher i jego banda stłoczyli się w kącie, zapewne żeby obgadać kolejny pozew. Whiz się ulotnił.

Zastępca naczelnika i strażnik wyszli niepostrzeżenie. Cotygodniowe posiedzenie sądu było w Trumble jedną z najlepszych rozrywek.

Rozdział 2

Chociaż Aaron Lake zasiadał w Kongresie już czternasty rok, wciąż jeździł po Waszyngtonie własnym samochodem. Nie potrzebował i nie chciał szofera, asystentów ani ochroniarzy. Czasami towarzyszył mu stażysta, który robił dla niego notatki, lecz zwykle przedzierał się przez uliczne korki w błogiej samotności, słuchając koncertów muzyki klasycznej. Wielu jego przyjaciół, zwłaszcza tych, którzy dotarli do stołków przewodniczących czy wiceprzewodniczących Kongresu, miało o wiele większe samochody, z szoferami oczywiście, a niektórzy jeździli długimi limuzynami.

Ale nie on. Dla Aarona Lake'a takie luksusy były stratą czasu i pieniędzy. I odbierały prywatność. Wiedział, że jeśli kiedykolwiek objąłby wyższy urząd, na pewno nie zafunduje sobie dławiącego bagażu w postaci szofera. Poza tym lubił samotność. Tymczasem jego biuro w Kongresie przypominało dom wariatów. Uwijało się tam kilkanaście osób, które odbierały telefony, wyszukiwały dane w komputerach, obsługiwały jego wyborców z Arizony. Dwie dodatkowe zajmowały się pozyskiwaniem funduszy. Była jeszcze trójka stażystów, którzy robili jeszcze większy tłok w ciasnych korytarzach i zabierali mu więcej czasu, niż byli tego warci.

Lake był wdowcem i miał uroczy domek w Georgetown, dzielnicy, którą bardzo lubił. Żył spokojnie, tylko niekiedy wkraczał na scenę towarzyską, która we wczesnych latach ich małżeństwa tak pociągała i jego, i jego zmarłą żonę.

Jechał obwodnicą – wolno i ostrożnie, bo był korek i padał lekki śnieg – i gdy dotarł do Langley, został szybko przepuszczony przez pracowników ochrony. Wjechawszy na teren, z zadowoleniem stwierdził, że czeka na niego ulokowane dogodnie miejsce parkingowe. A także dwóch agentów w cywilnych ubraniach.

– Pan Maynard zaprasza – oznajmił poważnie jeden z nich, otwierając drzwi samochodu, podczas gdy drugi wziął od Lake’a teczkę.

Władza ma swoje zalety.

Aaron Lake nigdy dotąd nie spotykał się z dyrektorem CIA w Langley. Dwukrotnie rozmawiali na Kapitolu, ale to było przed wieloma laty, kiedy biedak mógł jeszcze chodzić. Teraz Teddy Maynard, który poruszał się na wózku, stale odczuwał ból, więc nawet senatorowie przyjeżdżali do niego, gdy chciał z nimi coś omówić. W ciągu czternastu lat urzędowania Lake’a w Kongresie Maynard kontaktował się z nim najwyżej sześć razy, ale był człowiekiem niezmiernie zajęтым i załatwianie spraw mniejszej wagi zwykle zlecał współpracownikom.

W obstawie agentów Lake wszedł do siedziby CIA. Barierki ochronne otwierały się przed nim na każdym kroku, dlatego jeszcze nim dotarli do gabinetu, miał wrażenie, że jakby trochę urósł. Nic na to nie mógł poradzić. Władza działa odurzająco.

Pękał z dumy. Wezwał go do siebie sam Teddy Maynard.



W wielkim kwadratowym pokoju bez okien, nieoficjalnie zwanym bunkrem, dyrektor Maynard siedział samotnie i

beznamiętnym wzrokiem wpatrywał się w duży ekran, na którym widniała zastygła w bezruchu twarz kongresmena Aarona Lake'a. Zdjęcie było dość świeże, zrobione przed trzema miesiącami podczas imprezy charytatywnej. Kongresmen z Arizony wypił na niej pół kieliszka wina, zjadł kawałek pieczonego kurczaka i odpuściwszy sobie deser, wrócił samotnie do domu i przed jedenastą położył się spać. Zdjęcie przykuwało uwagę, bo Lake wyglądał na nim naprawdę atrakcyjnie: lekko przetykane siwizną rudawe włosy bez śladu farbowania czy przyciemniania, żadnych oznak łysienia, ciemnoniebieskie oczy, wyrazista szczeka, ładne zęby. Miał pięćdziesiąt trzy lata i starzał się rewelacyjnie. Codziennie przez trzydzieści minut ćwiczył na wioślarzu treningowym i jego poziom cholesterolu był w normie. Naprawdę trudno było znaleźć u niego jakikolwiek zły nawyk. Lubił towarzystwo kobiet, zwłaszcza gdy sytuacja wymagała, żeby się z jakąś pokazał. Jego stałą sympatią była sześćdziesięcioletnia wdowa z Bethesdy, której zmarły mąż dorobił się fortuny jako lobbysta.

Oboje rodzice nie żyli. Jedyne dziecko studiowało w Santa Fe. Żona, z którą pozostawał w związku przez dwadzieścia dziewięć lat, zmarła w 1996 roku na raka jajnika. Rok później zdechł jego trzynastoletni spaniel i od tamtej pory kongresmen Aaron Lake z Arizony żył zupełnie sam. Był katolikiem – choć to obecnie nie miało większego znaczenia – i przynajmniej raz w tygodniu chodził do kościoła.

Teddy Maynard nacisnął guzik i twarz zniknęła.

Poza Waszyngtonem Aaron Lake był mało znany, głównie dlatego, że potrafił trzymać na wodzy swoje ego. Jeśli nawet marzył o wyższym stanowisku, nigdy się z tym nie obnosił. Kiedyś mówiono o nim jako o potencjalnym kandydacie na gubernatora Arizony, ale był za bardzo przywiązany do Waszyngtonu. Kochał Georgetown – tłumy, anonimowość,

miejski styl życia. Lubił dobre restauracje, małe księgarenki i bary z espresso. A także teatr i muzykę; gdy jeszcze żyła żona, ani razu nie przegapili koncertu w Kennedy Center.

Na Kapitolu uchodził za bystrego i pracowitego, wyśmienitego mówcę, człowieka na wskroś uczciwego i lojalnego, sumiennego aż do przesady. Ponieważ w jego okręgu wyborczym miały siedziby cztery duże przedsiębiorstwa przemysłu zbrojeniowego, szybko stał się ekspertem w tej dziedzinie. Przewodniczył Komisji do spraw Służb Wojskowych w Izbie Reprezentantów i to właśnie z powodu tej funkcji poznał dyrektora CIA.

Teddy Maynard ponownie nacisnął guzik i na ekranie znów pojawiła się przystojna twarz Aarona Lake'a. Jako weteran służby w wywiadzie, w którym pracował od pięćdziesięciu lat, Teddy naprawdę rzadko odczuwał niepokój połączony z nieprzyjemnym uciskiem w żołądku. Ileż to razy uchylał się od kul, krył się pod mostami, zamarzał w górach? Otruł dwóch czeskich szpiegów, zastrzelił zdrajcę w Bonn, wyuczył się siedmiu obcych języków. Działał podczas zimnej wojny, a obecnie próbował zapobiec kolejnej. Przeżył więcej przygód niż dziesięciu agentów razem wziętych, a jednak teraz, gdy patrzył na niewinną twarz kongresmena Aarona Lake'a, żołądek zawiązywał mu się w supeł.

On – czyli CIA – miał zrobić coś, czego Agencja nigdy jeszcze nie robiła.

Zaczynali od stu senatorów, pięćdziesięciu gubernatorów i czterystu trzydziestu pięciu kongresmenów, z których wszyscy wydawali się dobrymi kandydatami, lecz na koniec został im tylko ten jeden. Członek Izby Reprezentantów Aaron Lake z Arizony.

Teddy wcisnął guzik i twarz Aarona Lake'a zniknęła. Nogi miał przykryte kocem. Codziennie ubierał się w to samo:

granatowy sweter, białą koszulę, stonowany krawat. Podjechał wózkiem do drzwi i przygotował się na spotkanie ze swoim kandydatem.



W ciągu ośmiu minut, gdy Aaron Lake czekał na spotkanie, poczęstowano go kawą i zaproponowano mu kawałek ciasta, za które podziękował. Miał metr osiemdziesiąt wzrostu, ważył siedemdziesiąt siedem kilogramów, dbał o wygląd i gdyby połasił się na coś słodkiego, Teddy byłby bardzo zdziwiony. Z tego, co wiadano, Lake w ogóle nie jadał słodczy. Nigdy.

Kawa była mocna, taką lubił. Pijąc ją, przeglądał wyniki badań, które przeprowadził. Na spotkaniu mieli omówić niepokojące zjawisko przepływu czarnorynkowego sprzętu artyleryjskiego na Bałkany. Przywiózł ze sobą dwie analizy, w sumie osiemdziesiąt stron danych, nad których opracowaniem ślęczał do drugiej nad ranem. Choć nie wiedział, dlaczego Maynard chce z nim rozmawiać akurat o tej sprawie, postanowił się przygotować.

Rozległ się cichy dźwięk brzęczyka, otworzyły się drzwi i z gabinetu wyjechał na wózku dyrektor CIA, z nogami owiniętymi kocem. Miał siedemdziesiąt cztery lata i widać było po nim każdy przeżyty dzień. Uścisk jego dłoni był jednak silny, przypuszczalnie dlatego, że ręce miał wyrobione od ciągłego popychania wózka. Lake wszedł za nim do pokoju, a dwóch wykształconych w college'u pitbulli zostało na straży pod drzwiami.

Dyrektor CIA i kongresmen usiedli naprzeciwko siebie przy stole ciągnącym się przez całą długość pomieszczenia, aż do białej ściany w głębi, służącej za ogromny ekran. Po krótkiej rozmowie wstępnej Teddy wcisnął guzik i na ekranie pojawiła się twarz. Kolejny przycisk i światło przycisnęło.

Lake to uwielbiał – te niezliczone guziczki, te błyskawicznie wyświetlające się obrazy. Był przekonany, że wszystko tutaj jest tak naszpikowane elektroniką, że mogliby monitorować mu puls z odległości dziesięciu metrów.

– Poznaje go pan? – spytał Teddy.

– Czy ja wiem? Chyba go już gdzieś widziałem.

– To Natalij Czenkow. Były generał. Obecnie członek tego, co zostało z rosyjskiego parlamentu.

– Znany również jako Natty – wtrącił z dumą Lake.

– Tak, to właśnie on. Zatwardziały komunista, blisko powiązany z wojskiem. Genialny umysł, olbrzymie ego. Bardzo ambitny, bezwzględny i w tej chwili najniebezpieczniejszy człowiek na świecie.

– Tego nie wiedziałem.

Zmiana obrazu i na ekranie pojawiła się kolejna twarz, kamienna, osłonięta daszkiem jaskrawej czapki wojskowej.

– A to Jurij Golcyn, zastępca dowódcy tego, co ostało się z rosyjskiej armii. Czenkow i Golcyn mają wielkie plany. – Znow migotanie i tym razem na ścianie rozjarzyła się mapa obszarów Rosji na północ od Moskwy. – Tutaj gromadzą broń – wyjaśnił Teddy. – Którą właściwie kradną sami sobie, łupiąc rosyjską armię. Co jednak istotniejsze, skupują ją również na czarnym rynku.

– Skąd biorą na to pieniądze?

– Zewsząd. Za ropę naftową dostają od Izraela radary. Szmuglują narkotyki i za pośrednictwem Pakistanu kupują chińskie czołgi. Czenkow ma ścisłe powiązania z kilkoma mafiosami. Jeden z nich kupił ostatnio fabrykę w Malezji i produkuje tam wyłącznie broń szturmową. Wszystko starannie zaplanowali. Czenkow jest sprytny, to niezwykle inteligentny facet, może nawet geniusz.

Teddy Maynard sam był geniuszem, więc jeśli kogoś za

takiego uznawał, to Lake bezwzględnie mu wierzył.

– Kogo chcą zaatakować?

Teddy zbył pytanie milczeniem – nie chciał jeszcze na nie odpowiadać.

– Widzi pan miasto Wołogda? Leży osiemset kilometrów na wschód od Moskwy. W zeszłym tygodniu namierzyliśmy w jednym z tamtejszych magazynów sześćdziesiąt pocisków typu Wietrow. Jak pan wie, pocisk typu Wietrow...

– ...to odpowiednik naszego Tomahawka Cruise'a, tyle że o sześćdziesiąt centymetrów dłuższy – dokończył za niego Lake.

– Właśnie. W ciągu ostatnich trzech miesięcy przerzucili ich tam już trzysta. Widzi pan Rybińsk na południowy zachód od Wołogdy?

– Znany z plutonu.

– Owszem, mnóstwa plutonu. Jest go tam tyle, że starczyłoby na wyprodukowanie dziesięciu tysięcy głowic nuklearnych. Czenkow i Golecyn cały ten teren mają pod kontrolą.

– Pod kontrolą?

– Tak. Wykorzystują do tego lokalną mafię i miejscowe wojsko. I są tam ludzie Czenkowa.

– Ale po co?

Teddy wcisnęła guzik i ekran na ścianie zgasł. Światło pozostało przyciemnione, tak że kiedy odezwał się z przeciwległej strony stołu, jego głos dobiegł z niemal kompletnego mroku.

– Szykuje się przewrót, panie Lake. Zamach stanu. Spełniają się nasze najgorsze obawy. Każdy aspekt rosyjskiego społeczeństwa i jego kultury pęka i się kruszy. Demokracja to żart. Kapitalizm zamienił się w koszmar. Myśleliśmy, że uda nam się zmagdonaldyzować ten przeklęty kraj, ale wyszła z tego katastrofa. Robotnicy nie dostają pensji, choć i tak mogą uważać się za szczęściarzy, bo przynajmniej mają pracę. Dwadzieścia procent społeczeństwa jej nie ma. Z braku

leków umierają dzieci. Wielu dorosłych też. Dziesięć procent populacji to bezdomni. Dwadzieścia procent cierpi głód. Z każdym dniem jest coraz gorzej. Kraj plądrują mafie. Wiemy, że z Rosji ukradziono i wywieziono co najmniej pięćset miliardów dolarów. I nic nie zapowiada, żeby miało się to zmienić. Dlatego to wręcz idealny moment, by pojawił się nowy przywódca. Nowy dyktator, który obieca ludziom powrót do stabilizacji. Rosja dramatycznie potrzebuje silnego przywództwa i pan Czenkow postanowił wyjść tej potrzebie naprzeciw.

– Tym bardziej że ma za sobą wojsko.

– Ma, i to mu całkowicie wystarczy. Przewrót będzie bezkrwawy, bo ludzie są na niego gotowi. Przyjmą Czenkova z otwartymi ramionami. Wprowadzi armię na plac Czerwony i rzuci Stanom Zjednoczonym wyzwanie: tylko spróbujcie stanąć nam na drodze. Dla rosyjskiego narodu znów będziemy tymi złymi.

– I znów rozpocznie się zimna wojna – mruknął ze zniechęceniem Lake.

– O nie, nie będzie w niej nic zimnego. Czenkow chce ekspansji, chce odtworzyć dawny Związek Radziecki. Rozpaczliwie potrzebuje pieniędzy, więc będzie przejmował i sprzedawał grunty, fabryki, ropę, zboża. Zacznie wszczynać małe regionalne wojny i bez trudu je wygra.

Na ścianie wykwitła kolejna mapa. Przed oczami Lake'a ukazała się pierwsza faza nowego porządku świata.

– Podejrzewam – kontynuował Teddy – że najpierw zaatakuje państwa bałtyckie. Obali rządy Estonii, Łotwy, Litwy i tak dalej. Potem ruszy na państwa dawnego bloku wschodniego i pozawiera pakt z tamtejszymi komunistami.

Kongresmen w oniemiaeniu patrzył na plany ekspansji Rosji. Prognozy Teddy'ego były takie przekonujące, takie precyzyjne.

– A co z Chinami? – spytał.

Ale Teddy nie skończył jeszcze z Europą Wschodnią. Wcisnął guzik i mapa się zmieniła.

– Tu nas wessie.

– W Polsce?

– Tak. Jak zawsze. Z jakiegoś cholernego powodu Polska jest teraz członkiem NATO. Wyobraża pan sobie? Polska, broniąca nas i Europy? Przed Czenkowem, który chce wzmocnić dawne rosyjskie imperium i zerka tęsknym okiem na Zachód? Tak samo jak Hitler, tyle że on spoglądał na wschód.

– Ale do czego mu Polska?

– A do czego była Hitlerowi? Leżała między nim a Rosją. Hitler nienawidził Polaków i zmierzał do wojny. Czenkow ma Polskę gdzieś, chce ją tylko kontrolować. I zniszczyć NATO.

– Zaryzykuje trzecią wojnę światową?

Kolejne wciśnięcie guzika. Ekran znów stał się ścianą, zapaliło się światło. Część audiowizualna dobiegła końca, nadeszła pora na poważną rozmowę. Teddy poczuł w nogach przeszywający ból i lekko się skrzywił.

– Na to pytanie nie potrafię odpowiedzieć. Wiemy dużo, ale nie czytamy temu człowiekowi w myślach. Czenkow działa po cichu. Konfiguruje scenę, instaluje ludzi w odpowiednich miejscach. Ale wie pan... w sumie spodziewaliśmy się czegoś takiego.

– Tak, oczywiście. Od dawna braliśmy ten scenariusz pod uwagę, mieliśmy jednak zawsze nadzieję, że mimo wszystko nie wejdzie w życie.

– Już wchodzi, panie kongresmenie. Czenkow i Golcyn eliminują przeciwników właśnie teraz, w tej chwili, gdy my tu rozmawiamy.

– Jak to wygląda od strony czasowej?

Teddy lekko się przesunął, próbując usiąść inaczej, żeby stłumić ból.

– Trudno powiedzieć. Jeśli Czenkow jest inteligentny, a na pewno jest, zaczeka, aż na ulicach wybuchną zamieszki. Myślę, że za rok od teraz Natty Czenkow będzie najślawniejszym człowiekiem na świecie.

– Za rok – powtórzył Lake takim tonem, jakby usłyszał wyrok śmierci.

Zapadła długa cisza, gdy zastanawiał się nad końcem świata, a Teddy mu w tym nie przeszkadzał. Ucisk w żołądku dyrektora CIA znacznie zelżał. Lake bardzo mu się podobał: rzeczywiście był przystojny, a do tego wygadany i bystry. Dokonali właściwego wyboru.

Aaron Lake miał szansę na wygraną.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).